

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 180.000·— Mk. z przes. 185.000·— Mk. Półrocznie 370.000·— Mk. Rocznie 740.000· — Ameryka: 12 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 23 centimów.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Konto P. K. O. Nr. 140.260. Konto Bank Związku Spółek Zarob. w Krakowie Redakcja otwarta dla stron od 10 — 12. Rękopisów i fotografji Redakcja nie zwraca

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 15000 Marek.

Rok XX. Kraków, 29 września 1923. Nr. 39.

Poświęcenie I. bazyliki Serca Jezusowego na Pradze

Prezydent Wojciechowski i arcybiskup Kakowski w otoczeniu duchowieństwa i przedstawicieli prasy udają się na śniadanie na plebanię.

Poświęcenie I. bazyliki pod wezwaniem Serca Jezusowego.

W dniu 16 b. m. odbyło się poświęcenie pierwszej w Polsce bazyliki pod wezwaniem Serca Jezusowego. Konsekracyi dokonał arcybiskup Kakowski, w asyście biskupów: Roppa, Zdzitowieckiego, Szelążka i biskupa polowego W. P., ks. Galla. Po konsekracyi, o godz. 1-ej, przybył pan prezydent Wojciechowski, witany na progu świątyni przez miejscowego proboszcza, ks. prałata Poskrobko.

Po przyjeździe p. prezydenta przemówił kardynał Kakowski, podnosząc znaczenie świątyni, i podkreślając wielką ofiarność fundatorki, p. Radziwiłłowej. Po J. Eminencyi zdał sprawozdanie z prac nad bazyliką ks. Poskrobko. Następnie, w asyście licznego duchowieństwa, ks. biskup Gall odprawił uroczystą mszę pontyfikalną. Po zakończeniu uroczystości odbyło się na miejscowej plebanii dla zaproszonych gości przyjęcie, podczas którego ks. prałat Poskrobko dziękował p. prezydentowi za łaskawe przybycie na uroczystość. P. prezydent odpowiadając, dziękował księdzu Poskrobce za jego wytrwałą pracę.



Poświęcenie I. bazyliki Serca Jezusowego: W oczekiwaniu przybycia prezydenta Wojciechowskiego.



Dom Żołnierza Polskiego: Twórca „Domu Żołnierza Polskiego“ d-ca korp. gen. Czikel w otoczeniu inżynierów i pracowników budowy. Fot. K. O. W. Kraków.



Dom Żołnierza Polskiego: Kręgielnia. Fot. K. O. W. Kraków.

Dom Żołnierza Polskiego w Krakowie.

Całe nasze społeczeństwo i czynniki rządzące otaczają gorliwą opieką naszą armię — która ze stanowiska położenia geograficznego Polski (brak granic naturalnych) musi być dobrze zorganizowaną, by mogła w każdej chwili niebezpieczeństwa stanąć w obronie kraju. Jakże inne było jednak stanowisko żołnierza w dawnej Austryi, w carskiej Rosyi — a jakże inne jest u nas! W państwach zaborczych starano się o to, by żołnierz był jak najciemniejszy, jak najgłupszy — u nas dąży się konsekwentnie do tego, by polskiego żołnierza wychować także na dobrego i świadomego obywatela kraju. To też narówni z wykształceniem fizycznem naszego wojska stoi wykształcenie umysłowe. Żołnierz, by bił się dobrze, musi wiedzieć, za co się bije, dla jakich ideałów walczy. To też istnieją w armii kursa, gdzie wykłada się żołnierzom popularnie historyę i geografię Polski, analfabetów uczy się czytać i pisać i t. d. W tych to celach powstają „Domy Żołnierza Polskiego“, mające mu służyć, jak to widzimy z ilustracyi nie tylko jako miejsce nauki, ale i zdrowej rozrywki. Jest zasługą gen. Czikla, dowódcy korpusu, iż dom taki powstał i w Krakowie, i to w znacznej części wzniesiony rękami żołnierzy.

Konkursowe żołnierskie strzelanie Garnizonu Krakowskiego.

W dniu 15 września b. r. odbyły się na strzelnicy garnizonowej na Woli Justowskiej korpuśne zawody strzeleckie.

Do zawodów stanęło 30 szereg. z rozmaitych oddziałów (także i pozakrakowskich) Okręgu Korpuśnego Nr. V.

I. nagrodę otrzymał sierż. szt. Józefowicz Jan z 1 p. s. p. (zegarek),

II. nagrodę otrzymał plut. Kwiatkowski Jan z 73 p. p. (srebrną papierośnicę),

III. nagrodę otrzymał st. wachm. Sidor Jan z 5 Dyw. Żand. (łańcuszek do zegarka).

Dalsze nagrody stanowiły dyplomy.

Ostatni etap odrodzenia Turcyi.

Nowo obrane zgromadzenie narodowe, obradujące w Angorze, ratyfikowało niedawno traktat zawarty w Lozannie, będący wielkim zwycięstwem odrodzonej, a tak nam sympatycznej Turcyi i jei twórcy, Kemala paszy. Traktat ten, dla którego zwoływano w Lozannie aż dwie konferencye, pozostawił Turcyę w liczbie państw europejskich i rozszerzył jej sferę posiadania, bardzo ograniczoną przez traktat w Sevres, przez rząd angorski nigdy nie uznany. Z chwilą tej ratyfikacyi wchodzi Turcya w nowy okres swej historyi. Odda się teraz pracy pokojowej i gojeniu ran, zadanych przez tyloletnie zapasy, by dowieść, że to, co mówiono o Turkach, jako o chorym narodzie, jest niepowrotną legendą. *rd*



Dom Żołnierza Polskiego: Grupa żołnierzy, pracujących przy budowie. Fot. K. O. W. Kraków.



Dom Żołnierza Polskiego: Hala taneczna. Fot. K. O. W. Kraków.



Konkursowe żołnierskie strzelanie garnizonu krakowskiego: Uczestnicy strzelania. W pośrodku gen. Tinz w tylnym szeregu stoją zdobywcy nagród. Wręczenie nagród najlepszym strzelcom przez gen. Tinza (1) w towarzystwie majora szt. gen. Gabrysaszefa oddału III D. O. K. Nr. V. (2). Fot. D. O. W., Kraków.



Ostatni etap odrodzenia Turcyi: Rada ministrów tureckich. Siedzą: Dr. Riza Nour Bey, minister zdrowia publicznego; Kasim Pasza, min. Obrony narodowej; Moussa Kiazim Effendi, min. wyznań; Fethy bey, premier; marszałek Fevzi Pasza, szef sztabu gen.; Seid Bey, min. spraw wewn.; Hassan Fehmi Effendi, min. skarbu; stoją: Feyzi Bey, min. robót publ. i Mahmoud Essad bey, min. handlu.



Ostatni etap odrodzenia Turcyi: Latife Hanem dzielna i urocza żona Mustafy Kemala Paszy.

Włosi na Korfu.

Mimo, iż Grecya wszystkie warunki, podyktowane jej przez Radę Ambasadorów, a pokrywające się prawie z postulatami Włoch, wypełniła, okupacya wyspy Korfu trwa nadal. Mussolini bowiem zażądał odszkodowania za okupacyę Korfu — a mianowicie milion lirów dziennie i orzekł, iż pozostanie na wyspie tak długo, jak długo Grecya nie zapłaci — a tymczasem każdy dzień obciąża Grecyę nowym milionem. Dyktator Włoch dał nawet do zrozumienia, że z chęcią by wyspę Korfu dla Włoch zatrzymał — z tego tytułu, że ongiś



Z wolnej Irlandyi: Prezydent wolnego państwa irlandzkiego Cosgrave (obecnie powtórnie wybrany) w otoczeniu młodzieży i jej wychowawców.



Włosi na Korfu: Posąg Achillesa w parku pałacu „Achilleion" na wyspie Korfu.

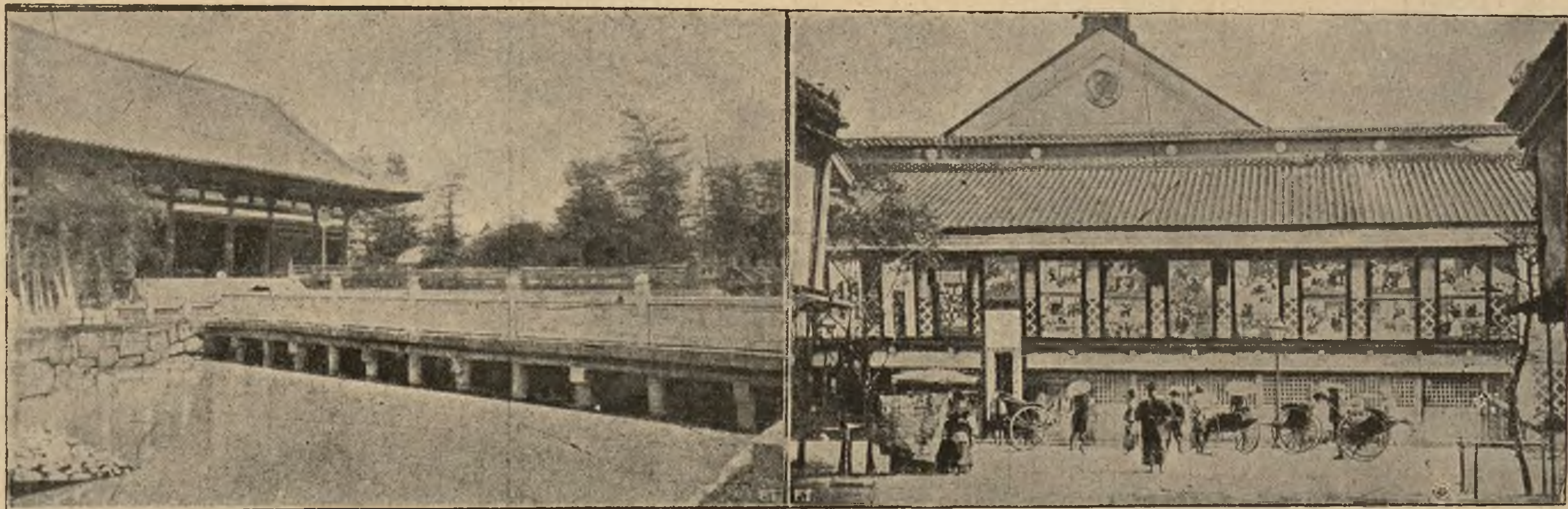




Włosi na Korfu:

„Achilleion" — sławna willa z białego marmuru, dawna letnia rezydencya ex-cesarza Wilhelma II.

Peristyl pałacu „Achilleion".



Kraj, który przysypała ziemia: Tokio, urocza stolica Japonii zniszczona trzęsieniem ziemi 1) Świątynia Słońca. 2) Teatr.

należała do republiki weneckiej. Na to jednak nie może się zgodzić Anglia, ponieważ Korfu jest najlepszym strategicznie punktem oparcia dla floty i postanowiła za wszelką cenę niedopuścić do hegemonii Włoch na morzu Śródziemnem. Tak więc sprawa Korfu jest nadal otwartą. Trzy z naszych ilustracyi z Korfu przedstawiają sławny „Achilleion", przecudnie położony pałac z białego



Kraj, który przysypała ziemia: Yoschiwara — jedna z najpiękniejszych ulic w Tokio przed zniszczeniem. Piękna ta ulica, łącząca w sobie wdzięk domków japońskich z europejskimi zdobyczami kultury, jest dziś doszczętnie zniszczona.

marmuru, który był swego czasu własnością ces. austryackiej Elżbiety. Po jej śmierci zakupił „Achilleion" Wilhelm II, kilkakrotnie tam przyjeżdżający. Obecnie jest on własnością rządu greckiego.

rd.

Kraj, który przysypała ziemia.

Jeszcze dymią złowrogo kratery wulkanów, jeszcze od czasu do czasu słabe drgnienia ziemi wstrząsają zielonym Nipponem — a już naród japoński po pierwszym, krótkim momencie przerażenia, spojrzał odważnie oko w oko niebezpieczeństwu i bez słowa skargi, bez żalów, lamentów, spieszy odbudować to, co zniszczył straszliwy kataklizm. Japonia już się odbudowuje. Synowie Słońca jęli się pracy, która wre już w całej Japonii, pracy nad zamianą kraju zasypanego ziemią, zalanego falami morza, strawionego ogniem, napowrót w kwitnący ogród. Jak donoszą radja z Japonii, plan odbudowy Tokio, które najbardziej ucierpiało, już został przez inżynierów ukończony, już uprząta się gruz z ulic i dawny ruch przywraca, a prace nad odbudową już są w pełnym toku. Zarządzenia rządu japońskiego mądre są i celowe. Rabusiów koreańskich poskromiono, zaapelowano do narodu, wzywając go, by ducha nie tracił — a rozpoczynając natychmiast odbudowę, uniknięto widma bezrobocia. Japończycy mogą w całej pełni zaimponować europejczykom karnością, wielkodusznością i żelazną wolą.

rd.

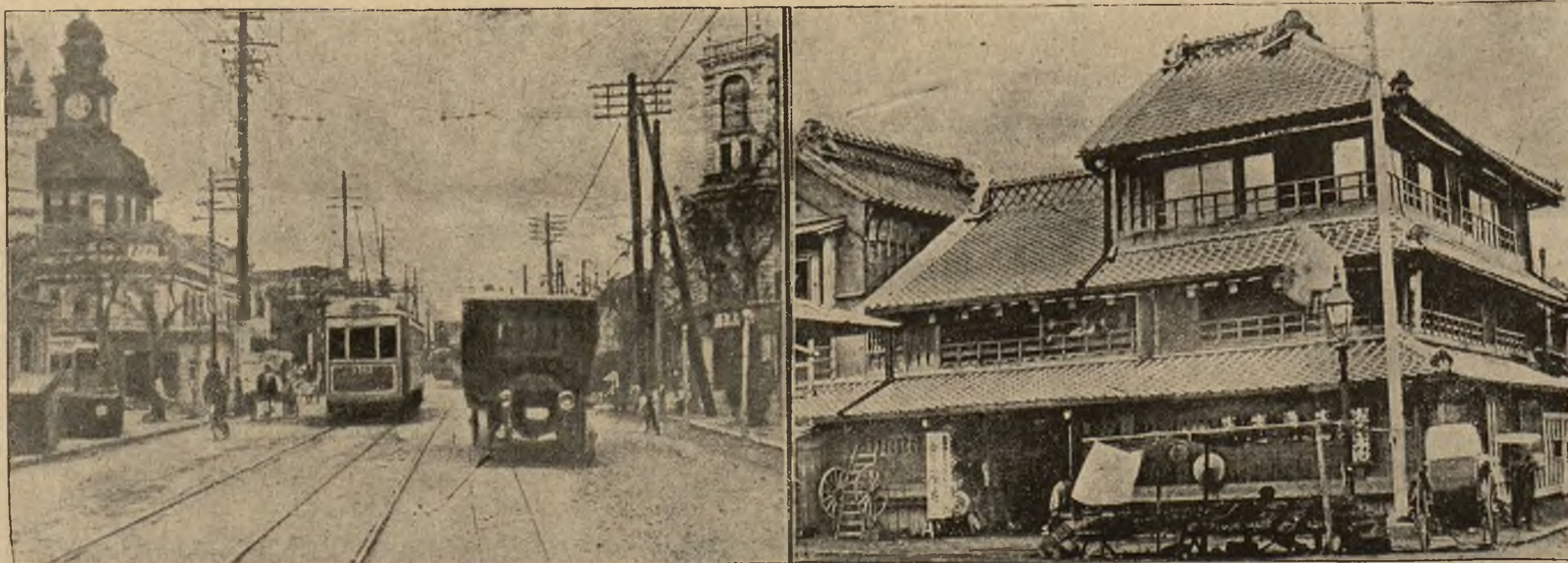
Z wolnej Irlandyi.

Wolne państwo irlandzkie, pozostające w związku dominialnym (podobnie jak Kanada) z Anglią, mimo odzyskania wolności i wyjścia zwycięzko w walce z odwiecznym gnębicielem „Zielonej wyspy" — było wstrząsane do ostatnich czasów drgnieniami rewolucyjnemi. Powodowane były one przez de Valerę, dawnego przywódcę sinfeinu, który odrzucał do ostatka wszelkie porozumienie z Anglią i żądał zupełnego z nią zerwania. Powstanie republikanów pod wodzą de Valery, objawiające się szeregami sabotaży, zostało jednak przez wojska rządowe stłumione i w państwie obecnie panuje spokój. Przy ostatnich wyborach republikanie de Valery uzyskali 44 mandaty (w ich liczbie i de Valera, obecnie uwięziony), zostaną oni jednak — jak orzekł prezydent Cosgrave — dopiero wtedy dopuszczeni do obrad, gdy złożą przysięgę na wierność królowi angielskiemu. Cosgrave, jeden z najwybitniejszych, obok zmarłych Collinsa i Griffita, twórców państwa irlandzkiego, cieszy się w kraju wielką popularnością, czego dowodem, jego powtórny wybór na prezydenta wolnej Irlandyi.

rd.



Kraj, który przysypała ziemia: Wielopiętrowa wieża japońska, przeglądająca się w wodach jeziora, na którego dno w czasie katastrofy runęła.



Kraj, który przysypała ziemia:

„Ginza" — główna arterya Tokio, o typie wybitnie wielkomiejskim i europejskim. Jeden z wielkich zajazdów w Tokio. Jak i inne podobne budowle japońskie runął on jak domek z kart.

Pamiętniki Don Juana

Na podstawie autentycznych dokumentów, zebranych przez mnicha Brata Augustyana w klasztorze w Sewilli.

CZĘŚĆ PIERWSZA
Młodość Don Juana

ROZDZIAŁ I
Ojczyzna Don Juana

Na pograniczu Europy i Afryki, wśród niebotycznych szczytów Sierra Nevady, skąd zdala roztacza się widok na dolinę Dylaru, bocznego dopływu rzeki Xenil, wznosi się na stromej skalistej górze starożytne zamczysko Bib-al-Djebel („Brama Gór“ po arabsku). Wysoko nad przepaścią sterczą upiorne mury, jakby wyrosłe z dzikich, niedostępnych skał, a ponury krajobraz i groźną jego ciszę przerywa tylko od czasu do czasu jakiś mieszkaniec tej krainy, dziki ptak drapieżny, lub kryjąca się tu za dnia sowa czy nietoperz. Ponurej grozie krajobrazu odpowiada też widok zamku, który zarazem jednak zdradza i charakter jego pana, surowego i dumnego władcy. Wszystko tu ma wygląd wojowniczy: lśniące łańcuchy zwodzonego mostu, wysokie mury z strzelnicami, w których rury armat i moździerzy szczerzą swe groźne paszcze ku dolinie; miarowe kroki szyldwachów, zbrojnych w piki i fuzye; nawet dumnie powiewają a chorągiew na szczycie wieży zamkowej. W tej groźnej twierdzy mała dzielna drużyna zdołałaby w razie potrzeby powstrzymać atak całej armii. Ale Don Juan de Gomelés, pan tego zamku, już dawno zawarł był pokój z katolickim królem Kastylii i przyjął sam wiarę chrześciańską.

Nie tak groźny, lecz równie wojowniczy wygląd zachował na przeciwległej wznoszący się skale, gród. Jest to zamek Marana.

Z wałów, okalających ten zamek, wzrok wybiega w szeroką dal ponad dolinę, aż do stoków dzikich wzgórz, gdzie rwące fale wzburzonej rzeki Dylar z pośród skalnych szczelin wybuchają rozlewnie w szerokie łoże doliny, aż w skrętach i łukach gubią się znów w niezmiernej dali na zachód.

Tam, w tym zamku, wzniesionym przez Maurów, zdobytym i zamieszkałym przez Chrześcian, na tej ziemi, którą ongiś drżący niewolnicy uprawiać musieli dla zwycięscy, — w tej krainie dziwnych kontrastów, gdzie mgliste rozmarzenie północy wplecione w palący żar południa, pod tem słońcem, jużto nielitościwie okrutnem, jużto wspaniale dobroczynnem, które równocześnie ogałaca skały i zapładnia doliny, miłość i nienawiść tymsamym promieniem rozgrzewa; tam, na tym terenie odwiecznych walk i sprzeczności klimatu i ludów, natury, religii i historyi: — tam miał przyjść na świat Don Juan.

A od miejsca, gdzie się żyje, znów zależy, jak się żyje, bowiem dusza otoczenia udziela się duszy człowieka.

ROZDZIAŁ II
Rodzina Tenorio

Zamek Marana należał więc teraz do Chrześciani a, wielkiego pana Don Rodrigues Pons Tenorio, obecnego naczelnika rodu, piętnastego władcy Cabezanu w Asturyi, jedenastego pana na Peral'u y Cobos w Starej Kastylii, szóstego na Tuente-Palmera w Andaluzyi i pierwszego hrabiego Marana.

Hrabia był młodzieńcem dwudziestoośmioletnim. Jasne brunatne włosy, siwe oczy, biała delikatna cera, nadawały jego fizyognomii wyraz szlachetnej rezerwy i spokoju. Sądząc z powierzchowności, nikłby nie przypisywał mu skłonności do ulegania słabostkom ludzkiej natury.

Inaczej hrabina. Idealnie piękną jej twarz cechowało stale jakieś ukryte cierpienie, wieczny jakiś niepokój, obawa, przeczulenie, nadawały piętno jej szlachetnie pięknym rysom twarzy, jak i ruchom. Otulona lekko fałdzistą mantyllą, snuła się po komnatach zamku, raczej do nadziemskiego zjawiska podobna, aniżeli do ludzkiej istoty. Obdarzywszy hrabiego pierwszym synem, obecnie piętnastoletnim Don Dziaz'em, znajdowała się znów w przededniu radosnego zdarzenia. Im bliższą zaś była chwila rozwiązania, tembardziej cierpienia i zgryzoty hrabiny się wzmagały. Była to raczej moralna aniżeli fizyczna choroba, tajemnicza w przyczynach, a straszna w skutkach. Bied a kobieta straciła swój spokój, widywano ją często zalewającą się łzami bez przyczyny, to znów drżącą z przerażenia. Chwilami zdawała się być pod wpływem jakiejś jej tylko widocznej zjawy, w którą wpatrywała się błędnym wzrokiem, omal dusząc się z przerażenia. Większą część dnia spędzała hrabina w swoim pokoju, skąd z poza zamkniętych drzwi dochodziły jej jęki, westchnienia i nieprzerwanie odmawiane modlitwy. Noce spędzała bezsennie, trapiona przywidzeniami, budząc się często z dławionym okrzykiem. Nic jej nie zdołało uspokoić; ani czuła opieka męża, ani ojcowskie napomnienia kapłana.

W eszcie hrabia zawezwał najlepszego lekarza z Sewilli. Był to Żyd nazwiskiem Alonzo Levita, który wiele podróżował po Europie i studyował na najsławniejszych uniwersytetach. Łączył on głęboką wiedzę z bystrym rozumem i niewzruszenie zimną krwią.

Wybadał pacyentkę, zbadał uważnie symptomy choroby i uspokoił wszystkich. W samej rzeczy, po kilku dniach hrabina wydała na świat ładnego chłopca. Ku jej zmartwieniu jednak nie mogła go sama karmić. Lekarz oświadczył, że byłoby to szkodliwem dla zdrowia matki i dziecka, i dał kozę za mamkę dla dziecka.

Wierna zabobonom swego czasu, prosiła hrabina mistrza Levitę o horoskop z konstelacyi gwiazd w chwili urodzenia dziecka.

— Ja nie jestem astrologiem — odparł on nieco drwiąco, — lecz mam przyjaciela i kolegę, który czyta w gwiazdach jak w księdze. Nakreślę tedy konstelacyę gwiazd tak, jak ona w chwili narodzin się przedstawi, a kiedy będziecie w Sewilli, możecie zapytać mojego kolegę, mistrza Scipiona Maquera, który według moich zapisków da wam odpowiedź równie dokładną, jak gdyby sam był obecnym.

W kilka dni potem odbył się w Grenadzie chrzest dziecka w katedrze, w obecności katolickich książąt i ich dworów. Dziecko trzymała do chrztu Donna Franciszka Pacheco, markiza de Mondajar, hrabina de Tendilla jako matka chrzestna, a Don Juan de Gomeles jako chrzestny ojciec, którego imieniem dziecko zostało ochrzczone.

Hrabina, która ślubowała była odbyć pielgrzymkę do cudownego obrazu Madonny z Guadeloupe, zaraz po swojem wyzdrowieniu ruszyła w podróż do Estremadury, w towarzystwie szwagra, Don Jerzego, oraz licznej świty; hrabia chciał zostać tymczasem przy dzieciach.

Przybywszy do Grenady, hrabina złożyła wizytę królowej, przyjęta przez nią z macierzyńską czułością. Stamtąd wyruszyła po trzech dniach do Sewilli.

Po nieszporach udali się Don Jerzy i Donna Klara, za przewodem mistrza Levity, do astrologa, który mieszkał w zaułku na końcu miasta. Mistrz Scipio, uprzedzony przez kolegę o zaszczytnej i intratnej wizycie, jaka go czeka, przygotowany był na przybycie gości, toteż ciężki zatrzask u drzwi wchodowych młotka zaraz się rozsunął po pierwszem uderzeniu młotka. Stara za czarownicę przebrana kobieta, godna powiernica takiego domu i astrologa, z kopcącą lampą w ręce, ukazała swą wstrętną maskę z poza żelaznej kraty.

— Otwórzcie, otwórzcie szybko, Barbaro — powiedział lekarz, wasz pan oczekuje nas.

Stara otworzyła w milczeniu, a wszyscy troje weszli, na czele lekarz, który wskazywał drogę. Po przebyciu ciemnego korytarza, znaleźli się przed drzwiami laboratoryum astrologa, który zarazem był alchemistą. Lekarz otworzył drzwi. Był to duży pokój, o wysokiem sklepieniu, słabo oświetlony od lampki, umieszczonej na haku ściennym. Mało sprzętów, lecz pełno aparatów naukowych i instrumentów zalegało cały pokój: piecyki, miechy, retorty, fiole, puszki, metale, odłamki kamieni, suszone rośliny, wypchane zwierzęta, szkielety, kości, trupia czaszka i mnóstwo innych gratów, rozwieszonych na ścianach, rozmieszczonych na półkach, lub bezładnie rozrzuconych na podłodze. W jednym z ciemnych kątów, na ruchomym kościotrupie kołysała się sowa, świdrując przybyłych żółtemi ślepiami.

Hrabina z drżeniem weszła do pokoju, Jerzy z wruszeniem ramion i grymasem twarzy, Levita z uśmiechem.

Astrolog siedział przy stole naprzeciwko drzwi, z głową pochyloną nad dużym, grubym foliałem, zatopiony w myślach tak dalece, że nie zauważył wchodzących przybyszów. Jerzy z ciekawością przybliżył się do stołu, lecz spostrzegłszy, że księga zawiera tylko jakieś niezrozumiałe znaki czarodziejskie, i nabrawszy przekonania o niedowiarstwie astrologa, bez ceremonii odezwał się do niego:

— Hola, przyjacielu, przybyła tu do was dama z zapytaniem, i ośmielam się zauważyć, że jest to dama dostatecznie wytworna, abyście sobie zadali trud powstania z miejsca. Wstańcie zatem, jeśli łaska.

Mistrz Scipio rzeczywiście wstał, przywitał hrabinę z powagą i czekał. Był to człowiek o imponującym wyglądzie zewnętrznym, dużego wzrostu, jakkolwiek nieco skrzywiony, o szerokim czole, orlim nosie, dużych, płomiennych oczach. Podał hrabinie krzesło, Levita usiadł na rogu ławki, a Jerzy zajął karło, zrzuciwszy na ziemię wszystko, co na niem leżało.

— Co chcecie poznać, dostojna pani? — zapytał astrolog, usiadłszy na swojem miejscu.

— Przyszłość mojego młodszego syna.

— A co chcecie badać, łaskawa pani, linie ręki, czy liczby, czy też duchy zmarłych nieboszczyków.

— Nie, nie, tylko nie zmarłych! — zawołała hrabina z przerażeniem.

— Sny czy też gwiazdy... — pytał w dalszym ciągu mistrz Scipio.

— Tak, gwiazdy i sny.

— Opowiedzcie mi swoje sny, łaskawa pani, a wytłómaczę je wam.

— Śniło mi się, jakoby wąż wśliżgiwał się na moje łono w czasie snu; a kiedy przestraszona usiłowałam gada precz odemnie odrzucić, wąż spoglądał na mnie tak dobrotliwie i smętnie, że opuściła mnie ochota do pozbycia się go. A wtedy gad począł syczeć i świstać, jak gdyby z wdzięczności; a ja, uspokojona i wzruszona, zaraz potem zasypiałam.

— Cóż dalej?

— Zrazu na tem się skończyło. Lecz później ten sen się powtarzał, w różnych odmianach, lecz zawsze ten sam. Raz śniło mi się, że wszystkie kwiaty w moim ogrodzie chwieją się, zbroczone krwią, a wąż wśród nich szybko pomyka. W hodzę do ogrodu, a kwiaty zaczynają szeptać zupełnie zrozumiale: „Sprawiedliwości, sprawiedliwości! On nas zabija!“ W tej samej chwili wąż oplata się wkoło mnie i rzecze: „Nie wierz im, one kłamią. To one właśnie pokłuły mnie kolcami; ta krew, którą widzisz, spłynęła z moich ran. Ratuj mnie!“ Zdawało się, że wąż cierpi narówni z kwiatami. Zaczęłam płakać, a wąż spijał moje łzy, a potem zasnęliśmy oboje.

A znów innym razem były to białe gołębie, przelatujące wkoło mnie z rozpaczliwym krzykiem, podczas kiedy wąż oplatał moją szyję i pieścił włosy. Gołębie mówiły: „On pożarł nasze pisklęta. Pomścij nas!“ A wąż szeptał mi do ucha: „One są w błędzie. To orzeł porwał im pisklęta, a ja orła zabiłem!“ I wskazał orła leżącego na ziemi w śmiertelnym skurczu. A wtedy gołębie odleciały, wołając: „Biada ci! Biada tobie!“

Ostatniej nocy wreszcie śniłam, że wąż przeszył mi serce. Niewdzięczniku — zawołałam — zabójco swego dobroczyńcy! — i odrzuciłam go precz od siebie. Wąż legł na podłodze bez ruchu i odezwał się z wzruszającą łagodnością: „Żałuj mnie; jeżeli cię zabiłem, to dlatego, że cię kocham. Ja żyłem przez ciebie i nie chciałem bez ciebie umierać!“ i zamienił się w kwiat. Ja zaś przybrałam kształt gołębia. Chciałam się zbliżyć do kwiatu, lecz ten już przerzucił się w orła. Orzeł chwycił mnie w szpony i uniósł pod słońce, w którem spaliliśmy się społem.

— Znaczenie Waszych słów jest jasne, powiedział mistrz Scipio. Ten wąż, to Wasz syn.

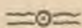
Jerzy się obruszył.

— Pozwólcie, to wam wyjaśnię — rzekł spokojnie astrolog. — Ten wąż wyobraża Waszego syna. Kwiaty symbolizują radość, gołębie miłość, orzeł odwagę, słońce sławę. Wykładanie snów reguluje się prawem kontrastów; a intencyą snu jest przeciwieństwo tego, co sen zdaje się wskazywać. Wasz sen oznacza więc, że czułość Waszego syna uszczęśliwi Was, a jego męstwo będzie Waszą chwałą.

(Ciąg dalszy nastąpi)

GUY DE TÈRAMOND.

KLEJNOTY RADŻY



— Czy nie wolisz poczekać, gdy wyjdziemy z restauracyi, wstąpimy do kwiaciarni i wybierzesz sobie piękniejszy.

Ale podniosła się, pobiegła do okna, a poznawszy Nama, zawołała:

— Patrz, Lucyanie! To biedna stara kobieta, idź kupić u niej, to przyniesie nam szczęście. Gdy się jest szczęśliwym, jest się dobrym.

I kiedy dawała znaki, aby kwiaciarka zbliżyła się, on ją usłuchał.

Ale, gdy opuścił gabinet, przez zmianę powietrza, okulary pokryły się lekką mgłą. Musiał je zdjąć i, czyszcząc szkła chusteczką do nosa, obrócił się machinalnie ku drzwiom, które zamknął.

— Kochanie! — wyszeptał rozczulony.

Nagle krzyk przerażenia wydobył się mu z gardła — wielkie krople potu zimnego perliły się na czole... nogi uginały się pod nim i, aby nie upaść, musiał się chwycić poręczy schodów.

Widział Małgorzatę, powracającą od okna do stołu, jak wydobyła z za stanika flakonik metalowy i wylała szybko zawartość do jego szklanki.

Ale natychmiast przyszedł do siebie.

To było niemożliwe!... oburzył się na siebie... oczy go omyliły... za chwilę powróci, zapyta młodą dziewczynę i wszystko się wyjaśni.

Tak się zmartwił, że zapomniał włożyć okulary, schodząc ze schodów, u stóp których czekała stara kwiaciarka.

Ale, gdy tylko spojrzał na nią, wykrzyknął:

— Hindus!

Pod łachmanami, któremi Nam się okrył, po przez koszyk kwiatów, który trzymał, zobaczył kulę, sławną kulę, utkwioną w udzie, a która go zdradzała, jak znak galernika.

Wówczas zrozumiał wszystko.

Mordercy nie wyrzekli się usunięcia go.

Ponieważ udało się mu uniknąć okropnej śmierci w kasie, teraz starali się otruć go i — rzecz straszniejsza, że do tego była użyta Małgorzata, ta Małgorzata, dla której oddałby był życie, była ich wspólniczką.

Wszystko to zauważył błyskawicznie, szczegóły zasadzki ukazały mu się jasno, jakby zasłona rozsunęła się przed nim. Czuł, że serce mu pęknie z żalu i przerażenia.

Popchnął kwiaciarkę, wybiegł na ulicę i uciekał wzdłuż wybrzeża jak szalony, ścigany spojrzeniem Julietty, wychylonej z okna, która napróżno starała się odgadnąć, co się stało.

Ale ona nie straciła zimnej krwi

Dała znak Namowi, aby na nią poczekał, uregulowała rachunek i spokojnie wyszła z restauracyi.

Automobil czekał parę kroków dalej, wsiedli do niego.

W wozie, zasłoniętym firankami, Hindus uwolnił się ze swego przebrania, kwiaty z koszem wyrzucił przez drzwiczki.

W pięć minut znaleźli się na ulicy Vezélay.

— Dobrze mówiłem! — wykrzyknął Nam z wściekłością. — Trzeba było skorzystać z dobrej sposobności, jaką mieliśmy w En, aby się pozbyć tego indywidyum! Biegajcie teraz za nim, wie, że jest ściganym, nie ufa. Bóg wie, czy go kiedy dosięgniemy.

— Zobaczymy — odparł hrabia spokojnie. — Nie unoś się tylko, mój stary. Nie powiodło się, to prawda... ten człowiek jeszcze raz nam uciekł... Nie traćmy czasu... trzeba zastanowić się, co mamy robić.

— Tak — odparł hindus zamyślony. — Istotnie, nie pora robienia sobie wyrzutów, chwile są drogie, jutro może być zapóźno.

— Ale co robić?

— Najpierw zastanowić się, gdzie mógł pójść, wychodząc z restauracyi.

— Do komisarza policyi — odparł zimno hrabia.

Nam zbladł mimowoli, ale natychmiast przyszedł do siebie, bo Lucyan Delorme stanowczo nie wiedział, kto była jego towarzyszka i nie mieli powodów obawiania się.

I obaj wspólnicy milczeli, patrząc na siebie, wkońcu Nam rzekł:

— Wrócił do hotelu. Zwierzę ścigane wraca zawsze do swego legowiska. Jutro pojedzie do En i jutro wniesie skargę przeciw napastnikom, ale dziś powróci do siebie, aby wypocząć.

— To możliwe! — odparł hrabia, ale co myślisz zrobić?

— Udam się na ulicę Apeninnes i zarządzam pokoju w hotelu Nowe Hebrydy. Potem, wśród nocy, gdy wszyscy będą spali, wejdę cicho do niego i sztyletem usunę nazawsze o indywiduum, którego istnienie jest dla nas ustawiczną trwogą.

Mówiąc, powoli podniół głos.

— Bo ja mam dosyć waszych kombinacyi, widzicie do czego prowadzą! Nie... nie, tym razem sam będę działał, aby być pewnym.

— Rób więc Namie! — powiedział hrabia.

W godzinę później Hindus zjawił się w hotelu Nowe Hebrydy z małą walizką w ręce, odziany płaszczem podróżnym i w czapce kupionej w En.

Z rządczyni zaprowadziła go do pokoju, który miał zająć, przechodził korytarzem pierwszego piętra, z uśmiechem zauważyła, że przed numerem 9 stała para bucików, która świadczyła że Lucyan Delorme był u siebie.

Północ wybiła, w hotelu cisza, gaz oddawna zgaszony. Chłopiec zaspany siedział w biurze, czekając na zapóźnionych klientów. Z poza drzwi Nam czatował, nadsłuchiwał. Był jak tygrys w zasadzce, gotowy do skoku. Zapalił ślepą latarkę, w ręku miał pęk kluczy. Głowę okrył czarnym welonem, a na ręce włożył ciemne rękawiczki, aby nie widziano go postępującego w mroku nocy.

Obmyślił, w jaki sposób miał uciekać. Obok jego okna, słup od latarni gazowej dotykał aż muru. Zgasić światło i ześlizgnąć się po nim aż do ziemi, było dla niego zabawką.

Przypomniał sobie wskazówki, dostarczone przez Juliettę, wchodząc, łóżko po prawej stronie.

Nam nie drży. Nie pierwsza to jego zbrodnia, rękę ma pewną.

Cicho idzie wzdłuż korytarza, sztylet w zębach. Chwilę patrzy przez dziurkę od klucza do numeru 9-go, potem przytyka ucho.

Chwyta za klamkę, drzwi się otwierają, nie były zamknięte na klucz.

— Czy pokój byłby próżnym?

Nie, lokator śpi spokojnie na łóżku, z głową wciśniętą w poduszki, twarzą zwróconą do ściany, jakby sam nadstawił plecy dla zbrodniarza. Nam świeci latarką, wstrzymując oddech, na stoliku nocnym leżą okulary młodego człowieka, a na krześle ubranie starannie poskładane. Zbliżył się w jednym mgnieniu oka zadał cios między łopatkami.

Ofiara nie wydała ani krzyku ani nie poruszyła się sztylet wszedł aż po rękojeść. Krew płynie z rany, walając pościel czerwonemi plamami.

Lucyan Delorme nie żyje.

W chwilę później Nam uciekł drogą, którą obmyślił, nie zostawiając śladów po sobie.

Nazajutrz w pokoju numer 9 znaleziono trupa.

ROZDZIAŁ VI

Niewyjaśniona zbrodnia

Nazajutrz rano Nam wszedł do pokoju hrabiego d'Abazoli Viscoza, przynosząc na srebrnej tacy pierwsze śniadanie, podniósł story, zbliżył się do jego łóżka i głosem spokojnym rzekł:

Lucyan Delorme już nie będzie nam zawadzał.

Szybko opowiedział swemu panu, co wydarzyło się w nocy w hotelu Nowe Hebrydy.

— Czy jesteś pewnym, żeś nie chybił? — pytał tenże.

Hindus zaczął się śmiać.

— Niech mi utną głowę... ostrze sztyletu utkwiło w plecach. Z tego nie wychodzi się.

— Dobrze! wykrzyknął hrabia, jestem zadowolony, że się to skończyło, zaczynałem być zazdrosnym o tego żółtodzióba.

— Zazdrosny, szydził hindus.

— Nie śmiej się Nam. Obawiałem się, czy Julietta powoli nie weźmie swej roli na seryo. Nieraz, gdy się jest zmuszonym odgrywać komedyę miłości, kończy się niekiedy zakochaniem. Nie pierwszy raz to się wydarzyło.

Hindus wzruszył ramionami, obrzucając szyderczym wzrokiem hrabiego.

— Na co ci potrzebna miłość tej kobiety! Niema nic niebezpieczniejszego jak sentyment.

— Nam, ty wiesz, że to przedmiot, nad którym nie mamy co dyskutować. Jedynym moim marzeniem jest poślubić Juliettę natychmiast, gdy będę mógł zażywać wypoczynku.

— To dobrze, nie nalegam, a odchodząc dodał poważnie — gdy pan hrabia będzie miał ochotę wstać, pyjama jest przygotowaną, leży obok niego.

Hrabia pozostał sam.

— Jeżeli Nam napracował się, wyszeptał do siebie... ja spałem dobrze... żadnych przykrych snów ani zmor... Boże! że ja jeszcze mam spokojne sumienie!...

I wyskoczył z łóżka.

Ale nagle zadrżał.

— Do dyabła — wykrzyknął — lewą nogę najpierw postawiłem na ziemi, to znak niepowodzenia przez cały dzień.. głupio być tak zabobonnym, mówił uśmiechając się.. ale my wszyscy Włosi jesteśmi takiemi. Gdybym zaczynał wybrałbym inny kraj.

Skierował się ku oknu.

— Dziś czas będzie piękny... małeńki spacer po lasku est mi wskazany — przytem zobaczę się z przyjaciółmi.

Opuścił firankę, którą podniósł i wyszeptał z rozczuleniem:

— Kochana Juliet a! jak ja ją wynagrodzę za miłość i poświęcenie, jakie mi okazuje.

Ale w chwili, gdy chciał zadzwonić, usłyszał pukanie do drzwi i Hindus ukazał się.

— Pan Clamart życzy sobie pomówić z panem hrabią.

— Szef bezpieczeństwa? wiedziałem, że dzień przyniesie coś przykrego.

— Cicho... rzekł spokojnie Nam — trochę zimnej krwi... poco przedwcześnie się alarmować, czyż nie mamy prawa być niekiedy uczciwemi ludźmi. Do dyabła trzeba się wyleczyć z tego lęku przed policyą, mój kochany. Wprowadzę go do gabinetu... przyjm go ze spokojem... zresztą będę w mojej zwykłej kryjówce za firanką i słuchał co ci powie, gotowy na wszystko...

W chwilę później hrabia ukazał się naczelnikowi, przepraszając, że przyjmuje w porannym stroju.

— To ja przeciwnie przepraszam za tak wczesne przyjście. Zdaje mi się, że nareszcie znaleźliśmy ślady.

— Czego?

— Włamywaczy, którzy pana ograbili.

— Ach! wykrzyknął hrabia zdziwiony — jakie?

— Nie opowiem panu ani naszych poszukiwań ani badań jakie zrobiliśmy, od czasu gdy pan widział się w mym gabinecie z baronem Plücke... Zapewne pan już zwątpił w powodzenie. Ja zrozpaczony wróciłem do pierwszej myśli że kradzież mogła być spełnioną tylko z pomocą kogoś z pańskiego otoczenia, znającego jego zwyczaje. Rolę taką mogła odegrać tylko pańska służba.

— Moja służba?

— To też rozciągnąłem nad nią czujność. Muszę panu nawet zaraz powiedzieć, że nic podejrzanego nie znaleźlimy przeciw pańskiemu służącemu.

— To byłoby istotnie nadzwyczajne — Nam jest tak oddany jak pies, nie mnie, ale Maharadży, który go tu umieścił i przypuszczać chwilę, że...

— Ale — odparł naczelnik — inaczej jest z pańską pokojową.

— Juliettą? zawołał hrabia.

— Ona! mamy podejrzenie, że jest wspólniczką jakiejś bandy złoczyńców.

— To niemożliwe.

— A jednak tak jest, śledząc ją zauważyliśmy różne rzeczy. Czy pan wie, czem się zajmuje pańska pokojowa wieczorem?

— Nigdy nie pytałem ją o to. — Zostawiam swobodę mej służbie, gdy pokończy pracę — zresztą jestem tak mało w domu.

— Pańska pokojowa bywa na bulwarach, w kinoteatrach, a widząc uśmiech hrabiego, dodał — pan mi zapewne powie, że zamiłowanie tych ludzi do widowisk niema żadnego związku z przestępstwem. Ale proszę poczekać. — Co jest ciekawem, że gdy tam wejdzie, nigdy stamtąd nie wychodzi.

— Jakto! wykrzyknął hrabia.

— Chcę powiedzieć, że gdy idą za nią, jak wyjdzie z pańskiego domu, tracą jej ślad, gdy wejdzie do kina. Którędy wychodzi? nie wiemy — nigdy wychodzącej nie widziano — a ponieważ dyrektor zapewnia, że niema żadnych drzwi tajemnych — to dowodzi, że pańska pokojowa ma słuszne powody ukrywania się, z obawy, aby przez nią jej wspólnicy nie zostali wyśledzeni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TADEUSZ TRETIAK

HAGEBOR

(Dziwna opowieść).

Miejscowość Skötaborg-Kärböle należy do tych miejscowości, co są położone na równinie, spadającej łagodnie ku morzu. Niezliczone małe i wielkie jeziorka błotniste otaczają Skötaborg i nadają mu charakter okolicy smutnej i tajemniczej. Największe z tych wszystkich jezior jest Schwarzfieldsee, jezioro, otoczone naokoło kępami karłowatych jałowców i świerków, nad nim unoszą się dusz ce opary, wydobywające się z głębin jeziora. Przedziwna legenda wytworzyła się u tamtejszego ludu o niem. Nikt tam nigdy, o żadnej porze dnia ni nocy nie poszedłby, choć nieskończenie bogate skarby miały tam się znajdować. Mówiono, że człowiek, któryby się odważył pójść tam i sięgnąć po skarby, umrze niedługo, a przed śmiercią swoją przyniesie nieszczęście wszystkim tym, których kocha i z którymi żyje.

— — — — — — — — — — — — — — —

Panem Skötaborg Kärböle był Friedjof Eryk Hagebor. Swój wielki i piękny pałac zamieszkiwał sam, tylko stary sługa przychodził do niego, przynosił mu wodę i palił mu w piecu. Cała okolica bała się Hageborа; kto tylko spostrzegł go zdaleka, starał się co prędzej oddalić, aby Hagebor nie zatrzymał go i z nim nie zechciał rozmawiać. Mówiono o nim, że codzień prawie udaje się nad Swarzfieldsee i tam jakieś dziwne prowadzi rozmowy; i widywano go dosyć często pod wieczór, jak nocą powracał do domu. Te tajemnicze jego wyprawy do straszliwego jeziora, zrodziły w umysłach ludu Skötaborg pewną baśń o Hageborze, a zarazem obawę i lęk spotkania się z nim, by przez to nie ściągnąć na siebie nieszczęścia.

— — — — — — — — — — — — — — —

Friedjof Eryk Hagebor za młodych swych lat studyował medycynę. Zamieszkiwał pokoik na trzeciem piętrze, w bocznej ulicy Stockholmu i cierpiał biedę taką, jaką cierpieć może ten, co był sierotą po nędznym podurzędniku. Z lekcyi i ubocznego zajęcia zarabiał tyle, że mógł wyżywić się i studjować.

Ale życie takie, życie, w którem przyjaciółmi jego były Troska i Bieda, nie mogło mu się uśmiechać.

Gdy czasem powracał do domu, rzucał się na łóżko, a znękany tak i zrozpaczony, przeleżał do północy. Pragnął być bogatym, ale takim bogatym, że nie tylko jemu samemu byłoby dobrze na świecie, lecz wszystkim tym, których kochał, dla których żyć pragnął, a przedewszystkiem dla Olimpii Ersen, jego jasnowłosej ukochanej. Wytworne życie stolicy, teatry, piękne pałace, liczne pańskie samochody, podniecały w nim tę żądze coraz bardziej. Czasem, podczas, czy to zajęcia, czy nauki, nie dawała mu myśl ta spokoju.

Bogatym być! Tylko bogatym!

Zapalał się wówczas Hagebor do swojego pragnienia, rodziły się u niego myśli i w wyobraźni widział się wielkim panem. Lecz nie długo to trwało. Rzeczywistość powracała na nowo do Hagebora.

— — — — — — — — — — — — — — —

Piękny poranek czerwcowy. Tak piękny, tak rozkosznie łagodny, jaki może być tylko na północy. Słońce rzucało swe ciepłe promienie przez okno do pokoju Hagebora i muskało jego twarz. Spał. Po chwili jednak, kiedy słońce coraz to filuterniej głaskało jego twarz, otworzył oczy. Pogoda, ciepło i słońce zrodziły w nim nagle jakąś ochotę do życia i wiarę w niego. Zerwał się szybko i wyszedł na miasto. Pragnął wyjść het gdzieś daleko w pole, aby mógł pozostać sam ze sobą.

Mijał ulice ludne, przeciskał się przez place, pełne przekupniów i krzykliwych przekupek, aż wreszcie dotarł do parku. Pusto zupełnie w nim jeszcze było. Ucieszył się z tego Hagebor. Chodził po alejach, zaglądał do wszystkich kątów parku, cieszył się ciepłem i słońcem. Dobrze mu było. Usiadł na ławce i począł podziwiać spokój przyrody. Tą harmonię ciszy, w którą wsłuchiwał się Hagebor, zakłóciły dolatujące z pobliża głosy ludzkie. Ocknął się i spostrzegł, na sąsiedniej ławce dwóch ludzi, wyglądających na wieśniaków. Chciał wstać, bo całkiem nie pragnął takiego sąsiedztwa, lecz pytanie jednego z nich zaciekawiło go.

„Więc mówicie Gustawie, że Swarzfieldsee znowu straszy?“ „Ot, nietylko straszy, ale i są nowe ofiary. Wiecie — ta Selma, ta z pod parafii i ten Olaf, jak poszli kiedyś ku tamtej stronie, tak i nie powrócili: mówiono o nich że chcieli trupy ograbić, inni, żeby je pochować“.

Hagebor począł uważnie słuchać. Dowiedział się o całej legendzie Swarzfieldsee, o skarbach, o trupach, co gniły w moczarach i, że nikt tam nie chciał iść, by je pochować, bo bał się ściągnąć na siebie nieszczęścia. Zaciekawiała go coraz bardziej ta opowieść.

Sąsiedzi jego odeszli. Hagebor został sam z legendą o Swarzfieldsee.

Ciekawa historya o jeziorze, piękna pogoda i chęć zobaczenia Swarzfieldsee, skłoniły go do tego, że postanowił zaraz udać się do Skötaborg.

— — — — — — — — — — — — — — —

Było już prawie pod wieczór, jak Friedjof Hagebor przybył do Skötaborg Kärböle. Zaszedł do pierwszej karczmy, jaką napotkał po drodze; zjadł nędzną wieczerzę i chciał się poinformować, w jakim kierunku i jak daleko jeszcze leży owe tajemnicze jezioro. Dom śmiał się, że nikt chętnie go nie objaśni. Chwycił się więc podstępu. Zawołał go podarza karczmy i począł mu opowiadać, że przybył tu w celu badania urodzajności okolicy; udawał, że nic nie wie o Swarzfieldsee i o legendzie. Gospodarz, człowiek naiwny i dobry, uwierzył mu i Hagebor dowiedział się wszystkiego, czego pragnął.

Jezioro leżało jeszcze godzinę drogi od karczmy. Wieczór się zrobił i Hagebor nie wiedział, czy z wyprawą swoją poczekać do rana i przenocować, czy wyruszyć odrazu. Ale chęć ujrzenia jeziora naglіła go, więc postanowił udać się natychmiast.

Droga była jednostajna, od czasu do czasu tylko gdzieniegdzie krajobraz zmieniał się, to przez kępy drzew liściastych, lub przez większe pagórki.

A potem nizina i błotniste jeziora wokoło.

Droga poczęła schodzić szybko w dół. Małe jeziorka zmieniały się w wielkie jeziora, a na krańcu drogi zamajaczyła czarna plama.

— To Swarzfieldsee — pomyślał Hagebor i szedł dalej.

Jakiś dziwny odór począł unosić się w powietrzu; szedł on od „czarnego punktu“. Jakiś dziwny stan począł ogarniać Hagebora; powstał on na widok „czarnego punktu“. Szedł jednak wciąż naprzód.

Plama zarysowywała się coraz to wyraźniej. Ziemia pod nogami Hagebora stawała się coraz miększą i błotnistą, tak, że nie mógł już przejść suchą nogą. Napotkał małe bagno, porosłe szuwarami. Przechodząc, zaplątał się w nie; schylił się, by usunąć przeszkodę, lecz ręka jego napotkała miękkie, rozkładające się ciało ludzkie. Drgnął. Zdawało mu się, że krew mu mózg zaleje. Przezwyciężył wstręt i lęk, odsunął trupa nogą i szedł dalej.

Czarna plama leżała tuż przed nim i zmieniła się w wielkie, błotniste jezioro Swarzfieldsee.

Stanął i wpatrywał się w błotnistą przestrzeń jeziora i tak zapatrzony, przetrwał chwilę. Odsunął nogą szuwary, by bliżej dojść, lecz nagle spostrzegł coś błyszczącego na ziemi, schylił się. Hagebor trzymał w ręku złoty pierścień, opatrzony wielkim brylantem. Schował go szybko do kieszeni, nachylił się nad brzegiem, wsuwał rękę powoli do błotnistej wody, by znaleźć w niej dalsze skarby, lecz napotkał jakąś martwą, kościstą rękę; przy dotknięciu, kawałki ciała odpadały z niej, a przez szpary widniały spruchniałe już kości. Na palcach błyszczały trzy wielkie pierścienie. Wstręt ogarnął Hagebora, chciał odrzucić rękę trupa, lecz złoto na niej poczęło uśmiechać się do niego. Myśl zostania bogatym powróciła teraz tak silnie, jak nigdy; tak szybko, tak niespodziewanie szybko. Złoto wabiło go wciąż. Drugą ręką próbował zdjąć pierścienie. Miał już dwa, a trzeci zawadził o wystającą kość i nie chciał się zesunąć. Mocniej pociągnął Hagebor. Pierścień zeszedł, lecz coś jakby jęknęło w głębinie.

— To imaginacya tylko, będę bogatym! — myślał w duchu i dalej szukał złota.

Co krok prawie znajdował w bagnach Swarzfieldsee klejnoty i ograbiał z nich martwych właścicieli.

Do ich widoku, do którego początkowo czuł odrazę i lęk, przyzwyczajał się. Złoto i klejnoty ciężyły w jego kieszeniach.

Tymczasem noc ciemna zapadła nad Swarzfieldsee i Skötaborg Kärböle.

Hagebor szedł pomału, co krok potykał się wyczerpany. Był już daleko od jeziora, ale im dalsza oddzielała go przestrzeń, tym większy strach i lęk go ogarniał. Począł szybko biedz, bo zdało mu się, że ktoś go ściga. Tak biegł chwilę; zimny chłód nocy otrzeźwił go dopiero.

— — — — — — — — — — — — — — —

Friedjof Eryk Hagebor stał się bogatym człowiekiem. Marzenia jego spełniły się; związał się z bogactwem, co przyniosło mu pozorne szczęście, ale związał się z bogactwem, co przyniosło mu rzeczywiste nieszczęście. Posiadał piękne pałace, wytworne auta, stajnie koni rasowych, a nakoniec kupił Skötaborg i całą jego okolicę.

Lecz cóż? Bieda i Troska opuściły jego nędzny pokoik, ale zato na smyrneńskim dywanie usiadło Nieszczęście.

Hagebor chciał przedewszystkiem uszczęśliwić Olimpię Ersen. Ona kochała go i ta miłość doprowadziła ją do ołtarza i stała się żoną Friedjofa Eryka Hagebora.

On kochał ją i obsypywał wszystkiem tem, czego tylko zapragnęła, dał jej nawet to, czego się od niego nie spodziewała nigdy — śmierć.

Śmierć żony wytworzyła w nim to głębokie przekonanie, że majątek jego przynosi nieszczęście jemu samemu i wszystkim tym, których kocha. Pragnął zapomnienia. Wyjechał w świat za granicę i tam przepędził długie lata. Obraz jednak Olimpii nie opuszczał go nigdy. Takie beztreściwe życie, jakie tam prowadził, nie leżało w jego usposobieniu. Powrócił do ojczyzny.

Stolica przywitała go budzącą się wiosną, czuł się tu lepiej.

Lecz ludziom, którym pomagał, to przez swoje złoto przynosił nieszczęście; w krótkim czasie poczęli go się obawiać i unikać jego towarzystwa.

Ten stosunek ludzi do niego, wszystkie nieszczęścia, zrobiły z niego człowieka zrezygnowanego i obojętnego na wszystko. Sam już unikał ludzi i przeniósł się do Skötaborg, do swego pałacu.

— — — — — — — — — — — — — — —

Mieszkał sam. Życie płynęło mu jednostajnie, tylko wnętrze jego pragnęło zmiany. Hagebor postanowił wyzwolić się z pęt, które sam sobie nałożył. Tak. Postanowił zwrócić złoto, to, które jeszcze posiadał, dyamenty i klejnoty. Dzień miał się ku końcowi. Na krańcach nieba widać było jeszcze ślady zachodzącego słońca, pasmo jasno czerwone, przemieniające się w coraz to inne barwy, a kończące się seledynem.

Hagebor szedł ku Swarzfieldsee. — Mijał szybko małe jeziorka i zdążał do wielkiego. Naglіło go coś, tak, że sam nie był w stanie sobie tego wytłumaczyć. Pragnął oddać skarby, skradzione kiedyś przed latami. Chciał, żeby Swarzfieldsee było już, tuż przed nim. Lecz im był bliżej jeziora, lęk jakiś ogarniał go. Zdawało mu się, że już stąd nie powróci.

Hagebor stanął nad brzegiem jeziora. Szybko wyciągnął z kieszeni część klejnotów i rzucał w błotnistą wodę. Zanurzały się powoli, lecz w tej chwili z głębin Swarzfieldsee wynurzyły się kościste ręce, jakby chciały go pochwycić. Hahebor cofnął się. Bał się tych rąk, nawpół zgniłych, które przedczasem okradał. Zdawało mu się, że one zażądają od niego rachunku sumienia. Wyjął drugą garść klejnotów i już zamierzał ją rzucić, gdy wtem na drugim krańcu jeziora zamajaczyło czółno. Zdziwiło to Hagebora. Czółno pomału zbliżało się do brzegu, gdzie stał. Zdawało mu się, że widzi tam jakąś kobietę samotną.

Czółno zbliżało się.

Hagebor wciąż się w nie wpatrywał.

Nagle spostrzegł, że tam w czółnie siedzi życie jego — Olimpia.

Wyciągnął obie ręce ku niej i począł co sił wołać: Olimpio! Olimpio!

Czółno przybliżało się pomału, a gdy już było na środku Swarzfieldsee, stanęło.

Hagebor patrzył wciąż, jakby nieprzytomny. Począł schodzić powoli do jeziora. Pragnął mieć ją tuż przy sobie i znów całować te kochane usta.

Czółno stało, jakby czekało na niego.

Szedł coraz dalej i głębiej; muł czepiał się jego piersi i ramion.

Na jeziorze widać było tylko głowę Hagebora, która pomału znikła w głębinie.

Swarzfieldsee stało ciche i tajemnicze, ale bogatsze o jedną więcej ofiarę...

— — — — — — — — — — — — — — —

NOWA KSIĄŻKA.

Z dniem dzisiejszym wprowadziliśmy stały nowy dział p. n. „Nowa książka", w którym będziemy omawiali najnowsze wydawnictwa tak polskie, jak i zagraniczne, chcąc w ten sposób dać naszym czytelnikom przegląd ostatnich nowości z zakresu literatury, nauki i sztuki.

Omawiane będą jedynie książki, nadsyłane do redakcyi jako **egzemplarze recenzyjne.**

Redakcya.

SNOBIZM I POSTĘP.

(Na marginesie wydawnictw „Kultury Nowej Polski")

Gdy sprawozdania z międzynarodowej wystawy książki. we Florencyi przyniosły wiadomości, że eksponowana tamże książka polska zjednała sobie powszechne uznanie i co więcej! — zajęła po eksponatach francuskich drugie miejsce, zdobyła dla siebie osobny pawilon, zyskała sobie przychylne recenzye w prasie zagranicznej, wywołać to musiało w sercach wszystkich jej miłośników radość, że nie ustępujemy na tem polu miejsca zagranicy, przynajmniej pod względem wyglądu zewnętrznego — przynajmniej pod względem formy!

Trudno sobie wyobrazić taki międzynarodowy wyścig książki pod względem treści — a może to i jest dla polskiej książki lepiej.

Gdybyśmy bowiem chcieli zestawić wartość tego, co się u nas w najróżniejszych dziedzinach w książce czytelnikowi daje, z tem, co mu w tej samej materyi dają książki obce, to bez wątpienia wypadłoby to niedyskretne porównanie na naszą niekorzyść — przynajmniej w wielu wypadkach. Oczywiście nie jest to reguła, która nie ma wyjątków.

Są u nas w ojczystym języku pisane książki, czy to naukowe, czy to popularne, stojące treściowo tak wysoko, traktujące przedmiot omawiany tak wszechstronnie, tak wyczerpująco — że mając je pod ręką, nie warto, niema po co — jest grzechem poprostu przeciwko własnej mowie, sięganie w tej dziedzinie do podręczników zagranicznych.

Niestety! — o tych polskich niekrzykliwych, nie senzacyjnych, wreszcie nie epokowych, ale niesłychanie wartościowych książnicach nie wie się albo nic, albo bardzo niewiele!

Stan ten wytworzył się zaś ze szczerze i istotnie polskiej przywary małpowania, z tej, prawdziwej polskiej, pogoni za zagranicznością, ktora nam zawsze każe wpierw szukać wszystkiego za granicą, zanim się upewnimy, czy też tego przypadkiem znaleźć nie możemy w kraju.

Bezkrytycznie, bez zastanowienia, niesłychanie tumanowato i naiwnie, już, już, na poczekaniu, w okamgnieniu, natychmiast przy zestawieniu dwóch fabrykatów, dajmy na to: wyrobu angielskiego i polskiego, francuskiego, niemieckiego, argentyńskiego, holenderskiego czy japońskiego, odpowiadamy bez zająknienia, nie zarumieniwszy się nawet, że lepszy — o znacznie — o daleko lepszy jest bezwątpienia fabrykat angielski, francuski, niemiecki, szwajcarski, szwedzki, holenderski, rosyjski, niż ten swój — krajowy!

I w tym — „krajowy" — jest jakieś niewyraźne zakłopotanie, jakieś upokarzające zawstydzenie, jest jakaś głupowata prośba o wybaczenie!

Nikną nawet antypatye rasowe, wyznaniowe, narodowe. Masło — o, najlepsze to już jest masło duńskie, sukna najlepsze są angielskie, szanujący się obywatel nosi tylko szwedzkie kalosze — ba, nawet — nawet koronki są szwajcarskie! (Krowy i zegarki także!).

Jeżeli chodzi o książkę, to zawsze przyznajemy przewagę książce obcej, bo ją pisał nie swój autor — ale zagraniczny.

Nic więcej — tylko dlatego!

Jest w tem bezwątpienia dużo słuszności, że się ma z góry ślepe zaufanie do starej, wypróbowanej marki — ale jest głupstwem trzymać się tych uprzedzeń z dziecinnym uporem.

Nie może być dwóch zdań, że pod wieloma względami stoimy niżej poza granicą w tyle — były i są u nas wielkie braki, ale jest i postęp.

O tym to właśnie postępie w jednej dziedzinie, mianowicie w dziedzinie wydawnictw popularnych będę mówił obecnie — po tym nieco zadługim wstępie.

Pisano w Polsce obszernie o ostatnim laureacie Goncourtów, panu Rene... i jak mu tam dalej — autorze książki z murzyńskiego życia, autentycznym czarnoskórym literacie z francuskich kolonii afrykańskich, co jest rzeczą naogół chwalebną, ale czy ktoś z rodaków wie coś o panu H. Orszy, redaktorze „Kultury Nowej Polski", „Biblioteczki Pracownika Społecznego" i autorze dwóch, bezcennych wprost książeczek: „Jak prowadzić bibliteki wędrowne" i „Życie biblioteki", czy czytaliśmy obszerne, jakby na to zasłużyły, sprawozdania z mrówczej pracy pani Wł. Weyher-Szymanowskiej, która na 70 (tak jest — zaledwie siedmdziesięciu!) stronach dała nam w zupełności wystarczająco wszechstronne „wskazówki i przykłady nauczania dorosłych czytania i pisania", czy wiedzą rodacy o tem, jak to naucza pan Jan Pohoski rozplanowania i budowy „Nowej zagrody"?!

A czy zdajemy sobie sprawę z ważności takiego podręcznika w kraju, w którym zniszczyła wojna (nie licząc szkód, spowodowanych najazdem bolszewickim) okrągło 640.000 (sześćsetczterdzieści tysięcy! tak tysięcy!) domów mieszkalnych i zabudowań gospodarskich!!

Jak w wielu innych sprawach, tak i tu utrudnia jakąkolwiek akcyę, nie tyle brak chętnych i uzdolnionych pracowników, czy też brak (tak się zwykle mówi!) pomocy rządowej — ile ta niczem nie dająca się przełamać apatya, obojętność, ospałość polskiego społeczeństwa.

Jest rzeczą wprost niesłychaną, jak znikomy procent ludzi, skądinąd światłych i pożytecznych, interesuje się sprawami, które powinny obchodzić wszystkich obywateli państwa.

A czy wiemy, jakie ten stan niesłychany pociąga za sobą szkody?

Posłuchajmy: w roku ubiegłym Instytut oświaty i kultury im. Staszica zamierzał urzędzić ruchome wystawy budowlane. Niestety... brak odpowiedniego poparcia ze strony zainteresowanych (!) organizacyi i urzędów spowodował odłożenie tego pożytecznego zamiaru!"

Wyraźnie zatem „brak odpowiedniego poparcia" i to już nie ze strony ogółu społeczeństwa, ale ze strony „zainteresowanych"! Wyraźnie! „zainteresowanych". Ten brak jakiegokolwiek zainteresowania dla spraw dobra publicznego, ta ociężałość, obok niedbałości i tandeciarstwa wszystkich u nas urządzeń, oto powody, dla których pewnie jeszcze długo nie będziemy mieli zaufania do „krajowego wyrobu" czegokolwiek, bo — albo: będzie to djabła warte — albo też — o ironio! — będą to rzeczy dobre, ale nie będziemy się niemi... interesowali!

Zdaje mi się, że jest to, wszystko razem wziąwszy, także właściwością naszego narodowego snobizmu, który to wyraz od czasu wydania ostatniej książki Żeromskiego stał się niesłychanie popularnym; — niechaj więc i mój niniejszy artykuł zakończy.

W. W,

Z TEATRU.

TEATR BAGATELA. *NIEPRZYJACIÓŁKA, komedya w 3-aktach Niccodemiego, w przekładzie p. Jachimeckiej. Niccodemi* podbił serca Polaków „Dniem, świtem i nocą", którego i my w. Krakowie słuchaliśmy z prawdziwą rozkoszą. Smutno więc jest, jeżeli taki dobry znajomy, do którego się czuje prawdziwą sympatyę i szczerą wdzięczność za zgotowaną radość, nagle wyjedzie z jakimś głupim kawałem. W takim razie nie pomoże nawet rozkosz podziwiania pani *Kozłowskiej*, od jej pojawienia się na scenie, aż do momentów tragicznego wybuchu, załamania i wyrównania — poprzez akt drugi, do końca aktu trzeciego, — nie pomoże poprawna ale sztywna gra pana *Brzeskiego*, nie pomoże doskonała sylwetka babuni, w wykonaniu pani *Sznage-Andruszewskiej*, ani rola lorda granego przez znowu w Krakowie bawiącego pana *Noskowskiego*, ani nic, nic innego tutaj nie pomoże, bo to już jest wszystko na darmo, kiedy sztuka jest taka właśnie — do niczego!

A najstraszniejsze już jest to, że po *Niccodemim* spodziewaliśmy się czegoś godnego wielkiej sympatyi, tak jak wielkiej sympatyi godzien jest jego „Dzień, świt i noc", już za to samo, że w nim jest taki śliczny mur, obrośnięty prześlicznemi kwiatami i jest miłość od tych kwiatów jeszcze piękniejsza i jest dużo rozkosznego o tych kwiatach i o tej miłości szczebiotu. A tu w „Nieprzyjaciółce" dał nam Niccodemi ponurą i okropnie melodramatyczną historyę, w której nawet pod koniec wybucha wojna światowa, co w Europie jest zresztą zawsze do zrobienia, a z pewnością sztuce żadnej już szkody nie wyrządzi.

W tragicznej tej komedyi, która jest najpospolitszym melodramatem występuje dużo osób, wszyscy zaś wykonawcy grają nawet lepiej aniżeli na to sama sztuka zasługuje.

Dekoracye nie bardzo szczęśliwe.

TEATR MIEJSKI IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO. *OKNA, komedya w 3 aktach Galsworthy'ego w przekładzie p. Szembeka.* „*Okna*" są taką rozpaczliwie angielską komedyą, której ojcem był nienajtęższy dowcip synów potężnego Albionu, a matką pani wcale nie przebierająca w środkach której na imię tendencya... umoralniająca. Dlatego też trzeba było prawdziwie angielskiej flegmy aby bez widocznych oznak poirytowania słuchać przez trzy akty beznadziejnych komunałów, które się zrodziły w kudłatej głowie czyściciela okien a przytem angielskiego „filozofa", który miał dwie prawdziwe angielskie choroby: nudził i przepadał za „whiski!" Niewątpliwie w Anglii entuzyazmowały się do szaleństwa jego podtatusiałemi frazesami różne żylaste i monstrualnie chude członkinie „Armii Zbawienia" — my jednak nie potrafiliśmy się w tej na „angielsko" przyprawionej komedyi dopatrzeć żadnych istotnych wartości, zwłaszcza, że ani przekład ani wykonanie nie potrafiło w nas wzbudzić zachwytu.

Pani *Bednarzewska* wybiła się więc bez trudu na czoło całego zespołu, a że od pierwszej do ostatniej sceny nie schodził jej z ust pogodny uśmiech, więc tym swoim uśmiechem opromieniła wszystko i wszystkich, — także chwilami można było dzięki niej zapomnieć o tem wielkiem nieszczęściu, jakiem jest prawdziwa angielska komedya.

Pan *Miarczyński* jako wykonawca roli tytułowej, czyściciel i gloryfikator okien, ojciec występnej dzieckobójczyni i „filozof po angielsku", dźwigał ten ponury ciężar angielskiej komedyi, z anielskiem poświęceniem, za co powinien być wynagrodzonym w angielskich funtach, które znacznie bardziej chwytają za serca, aniżeli angielskie komedye.

Pan *Sawicki* jako pan March dał udatnę sylwetkę oderwanego od życia literata, a pan *Socha*, którego poznaliśmy na poprzedniej premierze, wniósł na scenę w roli młodego człowieka exżołnierza, poety i moralizatora na swój sposób dużu życia, prawdy i szczerości w grze, a ponieważ posiada przytem bardzo dobre warunki zewnętrzne, a role do tej pory odtwarzane, opracowuje starannie, więc z nim niewątpliwie w Krakowie będziemy żyli dobrze.

Pani *Buczyńska* jako służąca z niebylejaką kryminalną przeszłością i reszta wykonawców robiła co mogła, a mogła widocznie tylko tyle ile robiła.

Wiesław Wohnout

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Konno przez Azyę Centralną.

Prof. Dr. *Antoni Ferdynand Ossendowski:* **Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów (Konno przez Azyę Centralną).** Nakład Gebethnera i Wolfa, szósty tysiąc. Z portretem autora, ilustracyami i mapką.

Lazury wód, błękity nieba, kręte łożyska rzek, jary i caniony, gorące kraje południa, stepy, pustynie, w których piaskach grzęźnie noga wielbłąda; sawanny, przeplatane pękami drzew; oazy i ciche kotliny, żółte pagody chińskie, moczary, bory i lasy dziewicze, puszcze, splątane lianami; łańcuchy gór, pokryte wiecznym śniegiem; rozwścieczone, spienione fale morskie, góry lodowe, tajgi Syberyi, bezbrzeżne obszary i pustkowia środkowej Azyi — oto wszystko to, czem od najwcześniejszej młodości karmiła się nasza wyobraźnia, to obrazy, pełne uroku, czerpane z książek od najmłodszych lat, które rozpalały umysł każdego dziecka.

Taki mały, przerażająco dumny z siebie i zadowolony z życia jegomość, ledwie umiał wysylabizować w pocie czoła „Ro-bin-son Kru-zo-e", a już siadał na fotelu tatusia i rozkładał „Robinsona" lub opowieści Coopera i Meyna Reida i z pałającą twarzyczką i oczyma, zajadając chleb z marmoladą, czytał te straszne opowiadania, aż mu mniej więcej płowe włoski stawały na głowie.

Powieści te — przez całe życie potem z przyjemnością wspominane — przenosiły nas w inne, nieznane światy i budziły chęć poznania ich. Nie każdy jednak może sobie na to pozwolić (och! jak ta marka nisko stoi!) i musi i w starszym wieku zadawalniać się czytaniem opisów tych egzotycznych, czy arktycznych krain.

Bo człowiek jest najbardziej udanem dzieckiem matki przyrody, nic więc dziwnego, że musi kochać swą mamę i — że stara się ją dobrze poznać. Ukochanie przyrody jest najpiękniejszą, najlepszą zaletą charakteru. I — może powiem szalone głupstwo — ale tak sądzę, że mało jest ludzi, którzyby przy największym materyaliźmie nie mieli w sobie w pewnym stopniu ukochania jej. Nawet krakowski paskarz, który wybrał się z familią w niedzielę na Bielany, czuje o zachodzie słońca, że są na świecie rzeczy piękniejsze nad... wybrylantowane, a nie zawsze czyste ręce!

Prof. Dr. Ossendowski, nasz znakomity uczony, jest takim dzieckiem przyrody, który ją czuje nader subtelnie, który umie ją odmalować i który jest bystrym obserwatorem. Zawierucha bolszewicka rzuciła go z Petersburga w głąb Syberyi w 1918 r. W r. 1920 schronił się nad brzegi Jeniseju i stamtąd przed bandami bolszewickiemi, rozsiewającemi się wokół, uciekał konno z oficerami Korczaka i agronomem Polakiem przez syberyjskie tundry, przez pustynię Gobi, Mongolię, zakamarki gór Sajańskich, Uryachaja i Tybet, przez owe kraje „ludzi, zwierząt i bogów".

Owocem tej gigantycznej ucieczki jest właśnie zacytowana w nagłówku książka, która doczekała się u nas drugiego wydania, nie mówiąc już o kilkunastu w języku angielskim. Dzieło prof. dra Ossendowskiego nie ma równego w podróżniczej literaturze polskiej i długo mieć go nie będzie.

Azja Centralna, to kraje, otoczone dla europejczyka gęstym nimbem tajemniczości, a co za tem idzie, owiane urokiem, który z owej tajemniczości wypływa. Tajemnicę Azyi odsłania nam prof dr. Ossendowski w swej epopei.

Niewymowny jest czar tej książki. Jej kartki żyją! Widzimy te pustkowia, tajgi i tundry, moczary i lasy — a na tle tem żyją ludy, których nazwy po raz pierwszy słyszymy, żyją plemiona nieufne, zamknięte w sobie, drżące przed widmem bolszewickiego „wybawcy". Przyroda jest tłem, na którem umieszcza je mistrzowskie pióro autora. Taki opis przeprawy przez Jenisej, płynący jeszcze krą, lub obraz pobojowiska nad Urgą, jest nie zrównany. Prócz tego odkrywa przed nami ta książka duszę Azyi, Azjatów, budzących się z wiekowego letargu, których narody głuchym pomrukiem grożą zdegenerowanej Europie zagładą. Poznajemy, iż „żółte niebezpieczeństwo" nie jest frazesem i niezadługo może stać się faktem.

Dla tych walorów tej niecodziennej książki, owe stare dzieci, które w młodości swej czytywały Robinsonów i Duchów puszczy, przeczytają ową książkę z rozkoszą — tembardziej, że firma wydawnicza Gebethner i Wolf wydała ją ze smakiem, okraszając ją portretem autora, rycinami, oraz mapką krajów, przez które dr. Ossendowski dokonał swej szalonej ucieczki. *R. D.*

Życie w Niemczech.

Berlin, we wrześniu.

Niemcy stoją pod znakiem ciągłego fermentu. Codziennie spotkać można, na ulicach Berlina zwłaszcza, przemaszerowujący przez miasto pochód demonstracyjny, raz tej, a raz tamtej organizacyi.

Kobiety nie pozostają w tyle. Ostatnio odbyła się wielka demonstracya kobiet niemieckich, mająca na celu krzewienie humanitaryzmu, miłości ludzi i zaprzestania walk.

Pozatem w stopniu daleko wyższym, niż u nas, spotyka się ustawicznie wojennych inwalidów, strasziwie pokiereszowanych, bez rąk, bez nóg, lub zupełnie ociemniałych, których przewodnikami i towarzyszami są wielkie psy. Mają one znak czerwonego krzyża przy obroży i dzięki specyalnej tresurze, umieją w zabawny a wzruszający sposób zwracać uwagę przechodniów.



Życie w Niemczech: Demonstracya organizacyi kobiecych przeciąga ulicami miasta.

Te i tym podobne rzeczy na każdym kroku przypominają minioną wojnę. Mimo tysięcy samochodów, mimo oślepiających reklam elektrycznych, sklepów, wyładowanych po brzegi bogactwem, coś ustawicznie przypomina przegraną Tego wrażenia nie zagłuszy nawet gruby śmiech, ani zdumiewający rozwój sportu. ani świetna, budząca zrozumiałą zazdrość, organizacya codziennego życia.

Wrażenie to narzuca się z niezwykłą siłą nawet i tam, gdzieby się tego najmniej spodziewać można. N. p. w cyrku. Występuje sławna „Hellscherin", odpowiadająca w transie na pytania publiczności, składane w formie karteczek do rąk jej impresarya. (Jak to robi, to już jej rzecz, dość, że odpowiada pewnie i trafnie odgaduje treść pytania, imię osoby, o którą się ktoś pyta i t. d.) Pytania można było stawiać na dowolny temat i — rzecz niezmiernie charakterystyczna — na zgłoszonych kilkadziesiąt, wszystkie bez wyjątku obracały się jedynie dookoła poległych lub zaginionych na wojnie. W miarę, jak padały monotonne odpowiedzi: „gefallen Karl bei Arras"; „gefallen Franz, bei Verdun" i tak dalej bez końca — w cyrku, gdzie przed chwilą na widok klownów rżał, ryczał potworny śmiech, w tym samym cyrku zapanował nastrój już nietylko poważny, ale pełen bolesnego skupienia i nakazujący szacunek. Napięcie wzrosło do niebywałej siły, gdy tę przykrą monotonię stereotypowych odpowiedzi urozmaiciło przynoszące pewną ulgę słowo „vermisst" i spowodowane niem rozpaczliwe pytania jakiejś, może żony lub matki, czy żyje, gdzie, czy jest zdrów i t. d. Ani jednego przerywu, dowcipu czy uśmiechu, tylko wychylone w stronę areny głowy i cisza głęboka, która nawet obcego lub wroga musi wzruszyć.

Potem znów akrobaci, tresura koni, klowni i wreszcie ogromne, a obrzydliwe widowisko historyczne p. t. „Rok 1806". Więc Jena, ucieczka Fryderyka Wilhelma, bohaterstwo Luisy, Napoleon i t. d. Wszystko razem wykonane istotnie po cyrkowemu przy pomocy najgorszych aktorów świata, wołało o pomstę do nieba. Ale przy tej sposobności można było bez trudu zauważyć, że o ile Niemcy nie prędko zapomną o klęsce, to z drugiej strony również nie tak łatwo dadzą sobie wybić z głowy myśl o przyszłym rewanżu. Przy każdem bowiem słowie, zwróconem przeciw Francuzom, eksplodowała burza oklasków, entuzyazm tłumu nie miał granic. W bardziej podniecających momentach publiczność powstawała z miejsc wśród nieustannych braw i okrzyków. Pojawienie się Napoleona i jego sztabu (prawdopodobnie przez niski szowinizm obsadzono te role jeszcze gorszemi siłami) było chwilą wprost groźną. Zdawało się, że tłum porwie się na nich i porozdziera w strzępy, na co zresztą z fachowego punktu widzenia rzetelnie sobie zasłużyli.

Identyczna historya powtarza się wszędzie, n. p. w kabarecie lub varieté, gdzie każdy kuplet, choćby tematem jego była n. p. teściowa lub zdrada kochanka, z reguły kończyć się musi wybuchem patryotyzmu. Pomysłowość tamtejszych kuplecistów w kierunku łączenia pikantnej treści z atakiem na Francuzów, jest w całem tego słowa znaczeniu zdumiewająca.

Gdyby więc taki łazik, jak ja, chciał, opierając się na powyższym objawie, wydać sąd, musiałby orzec, że ów krzyk nienawiści jest dominującym tonem w całych przeważnie Niemczech dzisiejszych. Równocześnie jednak musiałby stwierdzić ze zdumieniem, że Niemcy nader szybko zapominają uraz i puszczają je w niepamięć. Nikt tam bowiem nie śpiewa już dzisiaj tak popularnej w 1914 r. pieśni, której jedna zwrotka brzmi:

„Wir hassen vereint
Wir lieben vereint,
Wir haben alle nur einnen Feind!
England"...

Widocznie czasy się zmieniają, wobec czego nie należy się zbytnio przejmować. *Z. N.*



Z teatrów warszawskich: P. Jadwiga Smosarska znakomita artystka scen warszawskich, którą podziwialiśmy także w filmie „Tajemnica przystanku tramwajowego.



Polski Związek Muzyczno-Pedagogiczny: Członkowie wydziału Od lewej ku prawej siedzą: prof. St Lipski, dyr W. Barabasz, przewodnicząca prof. L. Grodzicka, prof.F. Machowa, prof. dr. J. Reiss, prof. Fr. Konior. Stoją: sekretarz prof. St. Bursa, Z. Łakocińska, W. Kalinowa, A. Peters, L. Marek-Onyszkiewiczowa, kap. Z. Szeller, Br. M. Closmanowa, prof L. Kopyciński, Z. Ferek.

Polski Związek Muzyczno - Pedagogiczny

P. Z. M. P. zrzeszył wszystkich najwybitniejszych profesorów muzyki Krakowa w celach artystyczno-pedagogicznych, przez dostarczenie społeczeństwu wyborowych profesorów, aby tą drogą szerzyć kulturę muzyczną wśród społeczeństwa. W szeregu Polskiego Związku Muzyczno Pedagogicznego stanęły wszystkie najpoważniejsze siły pedagogiczne muzyczno-wokalne. Z olbrzymiem powodzeniem urządził Związek szereg „Wieczorów artystycznych“, w których brali udział najwybitniejsi artyści i wirtuozi nasi, umożliwiając inteligencyi — dla niskich cen — uczestnictwo w tychże. Prócz tego popisy kształcącej się młodzieży, urządzane jako „Popołudnia muzyczne“, dokumentowały niedwuznacznie o zainteresowaniu się młodzieży produkcyami, zaś dla rodziców były doskonałą możnością stwierdzenia postępów i starannej pracy prywatnego nauczycielstwa muzyki, oraz wskazówką, że tylko w szeregach Związku należy szukać dobrych i starannych nauczycieli.

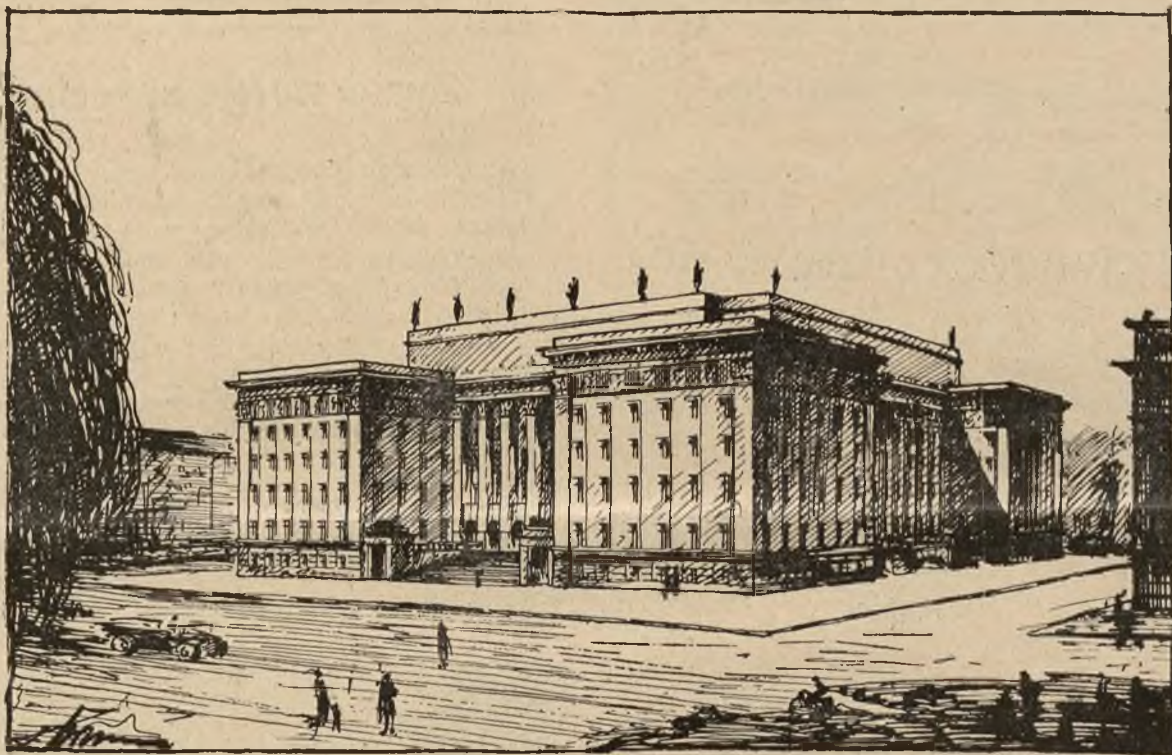
Prezesem Związku jest prof. Ludwika Grodzicka, wysoko ceniona pianistka, znana i ogólną estymą otaczana osobistość. Zastępcą jest p. Fr. Konior, znany dyrygent i kompozytor. Sekretaryat spoczywa w pracowitej dłoni prof. St. Bursy, śpiewaka pedagoga, cieszącego się sławą dystyngowanego pieśniarza i świetnego nauczyciela śpiewu. Skład wydziału stanowią nauczycielki i nauczyciele, jak: p. Br. Closmannowa, doskonała pianistka, Fr. Machowa, pod której egidą odbywały się produkcye uczniów, p. Z. Łakocińska, wybitna pianistka i bibliotekarka Związku, p. W. Kalinowa, cytrzystka (skarbniczka), oraz pp. prof. St. Lipski, pianista i kompozytor i A. Peters, skrzypek-wirtuoz. Do Zarządu wchodzą nadto: pp. Szeller, Kopyciński i dyr. Ferek, jako członkowie Komisyi rachunkowej.

Gmach Województwa i Sejmu Śląskiego w Katowicach.

Województwo śląskie, jakkolwiek najbogatsze w Polsce, nie posiada własnego gmachu i mieści się obecnie prowizorycznie w szeregu budynków szkolnych, w kamienicach i lokalach prywatnych. Także Sejm śląski mieści się razem z prezydyum Województwa w gmachu szkolnym.

Województwo zakupiło tedy prześliczny, na wzgórzu położony plac i rozpisało wśród polskich architektów konkurs na budowę gmachu Sejmu i Województwa śląskiego.

Rozpisując konkurs, ustanowiono wysokie i liczne nagrody, które zachęciły polskich architektów do wzięcia udziału w zawodach o pierwszeństwo projektu na budowę gmachu dla nowo oswobodzonej dzielnicy polskiej.



Gmach Województwa i Sejmu Śląskiego w Katowicach: Projekt, któremu przyznano I. nagrodę.

Nadesłano 67 prac, jest to więc, jak dotychczas, najliczniej obesłany konkurs w Polsce. Z powodu tak licznie nadesłanych prac miał sąd konkursowy bardzo trudne zadanie.

Po dwudniowej ciężkiej pracy przystąpiono do otwarcia kopert nagrodzonych prac.

Nagrodę I. przyznano projektowi Nr. 45, którego autorami są krakowscy architekci: Kazimierz Wyczyński, Piotr Jurkiewicz, Stefan Żeleński. Architekt Wyczyński, twórca projektu monumentalnego gmachu Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej w Krakowie przy ul. Basztowej, który będzie jednym z najpiękniejszych nowych gmachów Krakowa, jest również znany jako autor wielu prac odznaczonych pierwszą nagrodą na konkursach architektonicznych i tak: jako autor projektu na uniwersytet lwowski w r. 1913, wykonanego wspólnie z arch Ludwikiem Wojtyczką, projektu na sejm polski w Warszawie w r. 1919; był też współautorem odznaczonego pierwszą nagrodą projektu Wielkiego Krakowa, oraz wielu innych, chlubnie wykonanych prac.



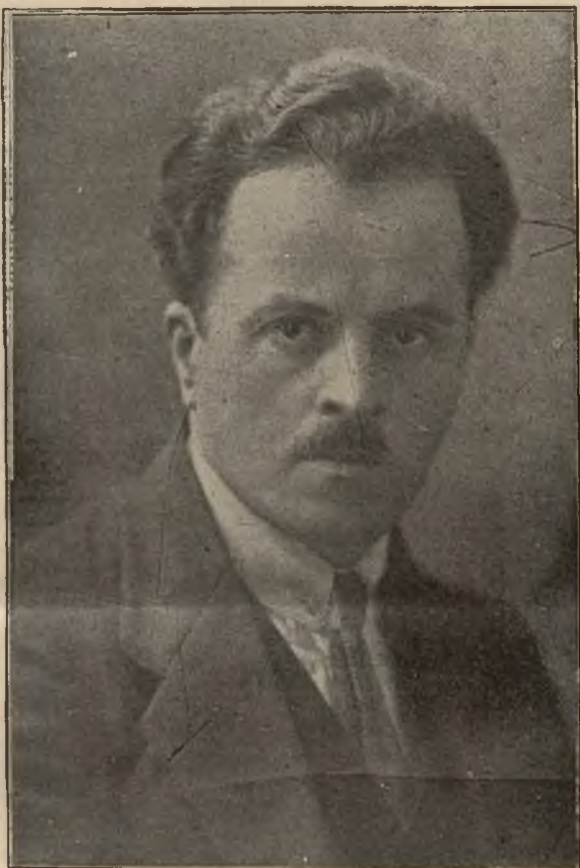
Poświęcenie sztandaru Koła Związku Inwalidów Wojennych w Nowym Sączu: Uczestnicy uroczystości: (x) Mjr. Wojakowski w zast. p. marszałka Józefa Piłsudskiego, 1) p. Marya Geriablsowa, 2) p. starosta Tadeusz Kępiński, 3) p. pułk. Jerzy Dobrodzicki, 4) p. pułk. Dobrodzicka, 5) Kępińska, 6) marszałek powiatu Adam Stadnicki, 7) p. Albina Małecka, 8) p. dr. Roman Sichrawa, 9) weteran 63 r. Koza Bronisław, 10) wet. 63 r. Jalniewski Jan, 11) inż. Geriabek, 12) przewodniczący Koła Zw. Inw. Woj. Kaiin Wincenty, 13) sekretarz Koła Zw. Inw. Woj. Czub Józef, 14) skarbnik Koła Zw. Inw. Woj. Łobodziński Jan, 15) Helena Łobodzińska, 16) delegat Zarządu Głównego Zw. Inw. Woj. dr. Adam Gozdawa Mikołajczyk, 27) mistrz ceremonii poświęcenia sztandaru Mieczysław Wysocki, 18) delegat Zarządu Wojewódzkiego Zw. Inw. Woj. z Krakowa Jan Widliński, 19) prezes Oddziału Zw. Legionistów w Nowym Sączu Gosierowski, 20) delegat Koła Zw. Inw. Woj. Warszawa Kazimierz Zarębski, 21) delegaci Zw. Inw. Woj. Koło Łódź, 22) chorąży Andrzej Drzewiński.

Poświęcenie sztandaru Pow. Koła Związku Inwalidów Woj. R. P. w Nowym Sączu.

Dnia 9 września b. r. o godz. 10-tej rano w kaplicy szkolnej w N. Sączu odbyło się poświęcenie sztandaru Pow. Koła Zw. Inw. R. P.

Poświęcenia sztandaru dokonał ks. kapelan Jakób Stec.

W uroczystości wzięli udział: miejscowa straż pożarna ochot. i zawodowa, delegacye wszystkich miejscowych Instytucyi społecznych, delegacyi Zw Inwalidów z Warszawy, Krakowa, Łodzi, Bochni, Tarnowa i Grybowa.



Nowy sezon operowy w Krakowie: Dyr Opery krak. Bolesław Wallek Wallewski znany kompozytor, jeden z najzdolniejszych dzisiaj polskich muzyków.

Ojcami chrzestnymi byli w imieniu p. Marszałka Józefa Piłsudskiego p. mjr. Wojakowski z p. Maryą Gerżabkową, p. płk. Jerzy Dobrodzicki z panią starościną Tadeuszową Kępińską, p. starosta Tadeusz Kępiński z p. pułk. Dobrodzicką, p. Adam Stadnicki, Marszałek powiatu z p. Albiną Małecką, p. Wiktor Oleksy, burmistrz, z p. Józefową Kaliszową, p. Wincenty Kalisz, prezes Koła, z panią Heleną Łobodzińską.

Po uroczystości przeszedł pochód przy muzyce kolejowej głównymi ulicami do lokalu Zw. Inwalidów gdzie odbył się poranek, na którego program złożyły się przemówienia delegatów, deklamacya, odczytanie i podpisanie aktu uroczystości poświęcenia sztandaru. W przerwach odśpiewał chór kilka utworów, cała uroczystość nacechowana była powagą.

Nowa era „M. Opery i Operetki".

Zdobyć okopy twierdzy tak ciężkiej do wzięcia, jak Opera w Krakowie, nie jest to zaiste rzeczą łatwą.

Losy Krak. Opery zdawały się już być bardzo wątpliwe. Mówiono już o kombinacyach teatralnych innego całkiem zakresu i pokroju, gdy w ostatniej niemal chwili — przechyliła się szala na stronę prawdziwej, poważnej Sztuki.

Mimo wszelkich trudności, braku poparcia ze strony miarodajnych czynników, mimo przewidywanego ogromu pracy — ster Opery w bieżącym sezonie ujęło w swe ręce dyrektorium w osobach dyrektora artystycznego prof. B. Walewskiego, dyr. Jana Czesława Sikorowicza i z ramienia Tow. Operowego Dra Stanisława Rostańskiego.

Z otuchą przystąpiono do reorganizacyi przedsiębiorstwa, powołując na głównego reżysera znanego artystę, p. K. Krugłowskiego, a na stałego tenora p. W. Pietronia.

W operetce, pozostającej pod wytrawną batutą kap. Szczepańskiego, przy pomocy kap. Wesby i pozyskanego z warszawskich „Nowości" reżysera Kierskiego - Sempolińskiego, staną wypróbowane siły z p. Szymulską z Poznania, Rynas, Szczęsną Kozłowską, Zimajer, Kramusową i. i., oraz z pp. Kierskim, Laskowskim (Warszawa). Ostrowskim, Karasińskim, Bojnarowskim i. i.

Ponadto Dyrekcya jest w układach z kilku wybitnemi siłami.

Do baletu został pozyskany, prócz znakomitej pary pp. Cesarskich, p. Wojnar i panna Martówna. Prócz tego kadry baletowe powiększy świetna primabalerina, ulubienica Krakowa, p. Nadieżdina z partnerem.

O ile z programu i zamierzeń Dyrekcyi wnosić można — tegoroczny sezon Opery i operetki przy ul. Rajskiej — powinien raz na zawsze utrwalić byt tego teatru.

Tegoroczny sezon koncertowy 1923/4.

Gorliwa troska „Krakowskiego Biura Koncertowego E. Bujański" o przygotowanie dla Krakowa największych atrakcyj muzycznych, wydaje swój rezultat. W tym miesiącu wystąpi u nas nasz sławny pianista **Ignacy Friedman**, który jako niezrównany odtwórca Chopina zasłynął od szeregu lat w Ameryce i Australii, oraz **Emanuel Feuerman**, świetny wiolonczelista, którego technika doskonale opanowana i ogromnie subtelne odczucie nici, snującej się przez utwory, przez niego interpretowane, umie wywołać na słuchaczu wrażenie takie, jakie tylko genialny muzyk wywołać może. Oba koncerty obudziły w Krakowie bardzo żywe zainteresowanie.



Nowa era „M. Opery i Operetki: Dyrektor Jan Czesław Sikorowicz.

Sport piłki nożnej w wojsku.

W dniach 4 i 5 września rozegrane zostały na boisku K. S. Cracovii obwodowe zawody piłki nożnej. W zawodach wzięły udział zwycięskie drużyny pułkowej piłki nożnej z korpusu przemyskiego drużyna 2. p. Wojsk Łączności, z lwowskiego drużyna 19 p. p. i krakowskiego drużyna 20 p. p.

Dwudniowe zawody przyniosły zasłużone zwycięstwo drużynie 20 p. p. Jako mistrz obwodu I. drużyna p. n. 20 p. p. wyjeżdża do Warszawy, gdzie w dniach 20 i 21 bm. weźmie udział w Głównych Igrzyskach W. P., rozgrywając o nagrodę wędrowną Polskiego Komitetu Igrzysk Olimpijskich.



Tegoroczny sezon koncertowy: Ignacy Friedman, sławny pianista.



Nowy sezon operowy w Krakowie: Dyr. dr. Rostański.

Jako mistrz armii z lat 1921 i 1922 nagrodę tę przez dwa lata zatrzymał u siebie, a o dalszych losach tejże nagrody rozstrzygną najbliższe dni.



Sport piłki nożnej w wojsku: Drużyna p. n. 20 p. p.

Zakończenie konkursu Piękności.

Z powodu wielkiej ilości materyału, ostatnią partyę fotografii odkładamy do następnego numeru.

Wyniki głosowania.

Pierwsze głosy, oddawane przez czytelników i sympatyków naszego pisma poczynają już napływać. Walka konkursowa o palmę najpiękniejszej kobiety w Polsce przedstawia się narazie jak następuje:

1. Pani R. Kosicka (Poznań), Nowości Illustr. Nr. 37, **głosów 7.** Teodor Winkowski, N. N., Bruno Dąbkowski, Albin Różycki i 3 głosy bezimienne.
2. Pani Olga Gotarowa (Warszawa) Nowości Illustr. Nr. 27, **głosow 4.** B. B. Ignacy Mann, Eustachy Karpiński i jeden głos bezimienny.
3. Pani Lucylla Sowińska (artyst. film., Bydgoszcz), Nowości Illustr. Nr. 19, **głosów 3.** Aleksander O., Joachim Felsztyński, Tadeusz Horski.
4. Pani Julia Nenkówna (Kraków), Nowości Illustr. Nr. 24, **głosów 3.** Artur Krajewski, Kazimierz Krupiński, Józef Karski.
5. Pani Helena Majewska (Poznań), Nowości Illustr. Nr. 27, **2 głosy.** Józef Momidłowski, Józef Marudziński.
6. Pani Grażyna Piekosińska, Nowości Illustr. Nr. 21, **1 głos.** Mr. Fr. Bytomski.
7. Pani Leokadya Sarnowska, Nowości Illustr. Nr. 17, **1 głos.** Mr. Fr. Bytomski.

Uwaga: Głosy nadsyłać można jedynie na **kartkach głosowania,** znajdujących się na 12-tej stronie, które należy wypełnić i wysłać do Redakcyi, zaopatrując je własnoręcznym podpisem.

Z powodu niezastosowania się do powyższego rygoru, musieliśmy unieważnić szereg głosów, przesłanych nieformalnie.

Artystyczna Komisya konkursowa.

„NOWOŚCI ILLUSTROWANE“ są najtańszem pismem illustrowanem w Polsce. Treść doborowa.

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce.

KARTKA GŁOSOWANIA

Niniejszem oddaję mój głos na panią ...., której fotografia była zamieszczona w .... Nrze „Nowości Illustrow.“

Podpis ....

Wyraźny adres i nazwisko ....

Nazwisko moje pozwalam — nie pozwalam umieścić w dziale konkursowym „Nowości Illustrowanych“

Konkurs najpiękniejszych kobiet w Polsce.

KARTKA GŁOSOWANIA

Niniejszem oddaję mój głos na panią ...., której fotografia była zamieszczoną w .... Nrze „Nowości Illustrow.“

Podpis ....

Wyraźny adres i nazwisko ....

Nazwisko moje pozwalam — nie pozwalam umieścić w dziale konkursowym „Nowości Illustrowanych“.

Redaktor naczelny: Wiesław Wohnout. — Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. — Odpow. redaktor: Dr. Witold Lipiński.
Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina